

Marcin Kula
Uniwersytet Warszawski

ODPOWIEDZIALNY HISTORYK? ŁATWO POWIEDZIEĆ...

Co znaczy, że historyk jest odpowiedzialny bądź że przynajmniej powinien żyć poczuciem odpowiedzialności? Przed podjęciem próby odpowiedzi trzeba zadać pytanie pomocnicze: wobec kogo powinien się czuć odpowiedzialny? Wobec czego powinien się czuć odpowiedzialny? Pierwsza narzucająca się odpowiedź wówczas brzmi: wobec własnego społeczeństwa. Cóż jednak poradzić na to, że taka odpowiedź mało znaczy. Bardzo często społeczeństwo chce słyszeć to, co samo uważa za słuszne, a nie to, co historyk ma mu do powiedzenia. Zna to chyba każdy historyk, który występował przed szerszą publicznością. Ludzie przychodzący na takie spotkania często szukają jedynie potwierdzenia własnych poglądów. Czasem nawet nie polemizują, ale ze słów prelegenta wyłapują tylko to, co jest zgodne z żywionym przez nich obrazem i opuszczają spotkanie w błogim przeświadczeniu o własnej racji. Niedawno mówiłem o sprawie Jedwabnego. Po spotkaniu podszedł do mnie jakiś człowiek, pochwalił co mówiłem... i kontynuował: „Zgadzam się z panem, że w Jedwabnem Żydzi byli sami sobie winni, bo współpracowali z komunistami”. Ręce mi opadły. Pomyślałem sobie: „Nigdy więcej!”.

Zwłaszcza w Polsce, gdzie wielokrotnie kłamano, społeczeństwo nieraz uważa każde odstępstwo od kanonicznej wizji dziejów – takiej, w której samo występowałyby w szatach pięknych i bohaterskich – za nieodpowiedzialne igraszki z historią. Tymczasem historyk, po pierwsze, powinien zajmować się wieloma kwestiami dziejowymi, które nie interesują społeczeństwa (zapasjonowanego najczęściej przeszłością polityczną). Po drugie, historyk powinien widzieć i pokazywać dzieje w całym ich skomplikowaniu, bez nadmiernie prostych odpowiedzi. Nawet jeśli z własnej pamięci łatwo jest wskazać pewną liczbę jednoznacznie czarnych epizodów dziejowych, to i tak jako historycy powinniśmy starać się je zrozumieć. Zakłada to pewne wczucie się w motywy postaci działających – nawet jeśli nie zamierza się ich usprawiedliwiać.

Tymczasem społeczeństwo najczęściej pragnie wizji jednoznacznej, czarno-białej, z szybkim wskazaniem postaci pozytywnych i negatywnych. W sporach

własnej społeczności z innymi ludzie często oczekują powiedzenia: „historia dowodzi słuszności naszej sprawy” – podczas gdy historia rzadko czegokolwiek dowodzi. Ludzie wierzą, że „historia jest nauczycielką życia” – podczas gdy nie jest, nawet jeśli zwiększa naszą wiedzę o człowieku.

Warto pamiętać, że w naszych czasach historia jest użytkowana bardzo intensywnie. Upadek komunizmu zdjął pokrywkę ze światowego garnka i zaczęły się wydobywać liczne, imperatywne opary przeszłości, pochodzące nawet z odległych czasów i terenów. Wobec zapamiętanej przeszłości zajmują stanowiska parlamenty, sądy, rządy, politycy, partie, organizacje społeczne, prasa, radio i telewizja. Wypowiadają się oni i one w kwestiach bilansów dziejowych, win zbiorowych, odszkodowań, przeproszeń i rewindykacji. Uzyskują lub nie uzyskują w tym wsparcia szerszych grup ludności. Często działają poza historykami, niekiedy z ich udziałem, czasem z ich wykorzystywaniem – w lepszym wypadku jako ekspertów, w gorszym jako ludzi, od których oczekuje się wyrażenia akurat pożądanego stanowiska. Nawet jednak, jeśli czołowi organizatorzy działań do historyków się nie zwracają, to jakieś środowiska sobie o nich w tym momencie przypominają i wzywają do sformułowania poglądu. Tymczasem te sprawy miewają ogromne implikacje polityczne, ekonomiczne i moralne. Najczęściej działają w nich wielkie ciśnienia. Historycy bywają więc przyciśnięci do muru.

Czy zatem historyk, reprezentujący postawę odpowiedzialną wobec własnego społeczeństwa, powinien działać jako głos rozsądku, unikać „stadnego pędu”, nieraz wręcz pójść „pod włos” opinii? W jakimś sensie tak – choć nie do końca. Sprawa jest skomplikowana. Wszak to właśnie poczucie odpowiedzialności wobec własnego społeczeństwa słusznie niedawno nakazywało niektórym historykom wspieranie społecznych postulatów mówienia o sprawach przemilczanych lub zafałszowanych. Nie można też wykluczyć pozytywnej służby historyka wobec społeczeństwa, zgodnie z własnymi przekonaniem, gdy akurat zbiegną się one z szerszym zapotrzebowaniem.

Poczucie odpowiedzialności wobec własnego społeczeństwa historyk musi zatem „przefiltrować” przez własne poczucie sensu i prawdy, także przez pytanie, czy argumentowanie historią nie jest nadużywaniem jej, oraz przez powinności wynikające z zasad badania historycznego. W sumie musi więc je przefiltrować przez poczucie odpowiedzialności wobec siebie samego oraz swego zawodu. Również w tym wypadku łatwiej to jednak powiedzieć niż wykonać.

Jeszcze moje pokolenie uczono wykonywania zawodu historyka w ramach pozytywistycznej (nazwijmy ją tak!) wizji historii. Zalecano nam przerobienie wszystkich (!) materiałów, jakie z danej epoki zachowały się na dany temat, zestawienie ich celem wychwycenia zgodności bądź niezgodności oraz zarysowanie obrazu wynikającego ze źródeł. W ramach tej wizji obrazy tego samego epizodu, zarysowane przez dwóch różnych historyków, powinny się różnić co najwyżej bardziej lub mniej udaną literacką warstwą opisu. Opracowanie tematu przez dwóch historyków nie powinno się zresztą zdarzyć, jako po prostu niepotrzebne (skoro obraz będzie z grubsza identyczny...).

Zalecano nam jeszcze przekazywanie w naszych opracowaniach lub (i) wykładach jedynie wiadomości sprawdzonych. Do dziś istotą większości ćwiczeń prowadzonych ze studentami historii jest czytanie źródeł i wyciąganie z nich informacji – w przeświadczeniu, że tą drogą dojdziemy do prawdy, jak po nitce dochodzi się do kłębka. Do tego dodawano i dziś wciąż dodaje się, że historia jest użyteczna dla współczesnego społeczeństwa i dużo uczy czytelników.

W ramach pozytywistycznej wizji historii poczucie odpowiedzialności historyka wobec siebie i własnego zawodu rysowało się prosto. Odpowiedzialne było w gruncie rzeczy długotrwałe siedzenie na tym, co dano nam do siedzenia. Długo niedostrzegany kłopot tkwił tylko w tym, że owa wizja była (jest) oparta na licznych fałszywych założeniach.

W wielu wypadkach podstawy wnioskowania historyków są metodologicznie na tyle wątpliwe, że żaden logik czy naukoznawca by ich nie zaakceptował. Milcząco przyjmujemy pewne założenia odnoszące się do racjonalności ludzi z różnych epok, które wcale nie muszą być niepodważalne. O odległych epokach mówimy na podstawie znikomej liczby źródeł. Nasze działanie można by porównać do opowiadania za tysiąc lat o naszej epoce na podstawie pięciu dyplomów (niechby nawet były to dyplomy mianowań profesorskich!) i dziesięciu torebek plastikowych (bo one przetrwają chyba najdłużej z całej naszej cywilizacji!).

W odniesieniu do czasów najnowszych mamy wprawdzie dużo źródeł, ale ta okoliczność właśnie czyni, iż nasze korzystanie z nich jest i musi być warunkowane naszym subiektywnym wyborem. Między bajki trzeba włożyć podstawowy postulat metodologiczny dotychczasowej historiografii, zalecający przerobienie wszystkich materiałów, jakie pozostały po badanych czasach. Metodologia przerabiania źródeł historycznych też nie nadąża za zmianą ich charakteru. Mediewistyka opracowała podstawowe pytanie stosowane w krytyce źródła: „Co autor wiedział i co chciał powiedzieć?” Otóż odnosi się ono do kronik średniowiecznych, ale zupełnie nie jest relewantne do bardzo wielu źródeł stosowanych w badaniu historii najnowszej.

Postulat podawania jedynie wiadomości sprawdzonych jest wątpliwy, gdy mówimy o społeczeństwie, a nie dysponujemy reprezentatywnymi próbami danych. Ponieważ dysponujemy nimi rzadko, więc czy to o uczuciach narodowych grupy, czy np. o zjawiskach życia codziennego, nieraz mówimy na wycucie.

Postulat trzymania się jedynie wiadomości dobrze sprawdzonych może też w złym sensie ograniczać historyków – kierując ich ku mozolnemu zagłębianiu się w papiery miast ku myśleniu i wyzwoleniu choćby odrobiny fantazji i szaleństwa, bez których nie ma dobrych pomysłów w nauce. W nauce nie można być wszak jedynie dobrym rzemieślnikiem; trzeba być też choć trochę artystą.

Last but not least, historia historiografii dowiodła, iż nie jest tak, ażeby dwóch historyków, nawet najlepszych, ożywionych dobrą wolą i pracujących wręcz na podstawie tych samych źródeł, tworzyło taki sam obraz przeszłości. Wizja historyczna wciąż się zmienia. Nawet historycy pracujący jednocześnie i w ramach tego samego społeczeństwa nie tworzą wizji tożsamej – a cóż dopiero mówić o historykach z różnych grup.

Czy zatem kwestię poczucia odpowiedzialności historyków należy potraktować tak jak kwestię odpowiedzialności pisarza – tj. zrelatywizować ją do systemu wartości i zapytać, jakim wartościom służy dane piarstwo? Takie postawienie sprawy też nie byłoby rozsądne. Z zupełnie niedawnej przeszłości łatwo podać przykłady, gdy oddawanie przez historyków swego pióra w służbę wartości, choćby w ich przekonaniu najcenniejszych, przy odstępianiu od kanonów wykonywania zawodu, przyniosło fatalne konsekwencje. Można też wskazać przykłady, gdy nawet przyzwoite zawodowo, ale nadmiernie zorientowane ku wspomaganianiu doraźnych idei piarstwo historyczne nie prowadziło do powstania wielkiej historiografii. Jest nadto jakaś warstwa wiedzy o dziejach, bez której uwzględnienia historiografia staje się bądź literaturą piękną (w lepszym wypadku), bądź szarlatanerią (w gorszym). Bitwa pod Grunwaldem miała miejsce w 1410 r., a zbrodnia katyńska w 1940 r. Gułag i Auschwitz naprawdę (niestety!) istniały. Wielkie zjawiska historii nie dadzą się wytłumaczyć domniemanymi spiskami, a rzekomo proste argumenty historyczne najczęściej nie zdają egzaminu. Nonsens pozostaje nonsensem nawet w ramach najdalej posuniętego relatywizmu.

Odpowiedzialny historyk czuje granice, gdzie kończy się subiektywizm. Chce ograniczyć jego zasięg. Tępi, a przynajmniej powinien tępić mity oraz naciąganie w społecznych odwołaniach do historii. Jeśli jednak jest rzeczywiście odpowiedzialny, to wie jednocześnie, że ogromna część tworzonej przezeń wizji dziejów pozostanie jego wizją autorską. Byłoby wręcz nieodpowiedzialne negowanie jej subiektywizmu.

Takie postawienie sprawy stawia oczywiście pytanie o naukowość historiografii. Czy powinna się ona zaliczać do nauk czy do sztuk? Za jej naukowym charakterem przemawia powszechna zgoda historyków, że uzyskiwany przez nas obraz winien powstawać nie tylko z naszych myśli, ale w wyniku procedury analitycznej zastosowanej do źródeł historycznych. Także – mimo wszystko, co zostało powiedziane wyżej o nieuniknionym subiektywizmie w doborze źródeł – zgoda na pewne reguły heurystyczne. Także w końcu istnienie wspomnianej wyżej warstwy faktów niepodważalnych przemawia za naukowym charakterem poznania historycznego.

Niestety na szalę naukowości historiografii w małym stopniu można dziś położyć ujęcie problemowe, dążenie do uogólnień, wyprowadzanie szerszych wniosków z zakresu wiedzy o człowieku. Zdarzają się oczywiście zwracające uwagę przykłady takiego podejścia¹. Na ogół w tych zakresach historia funkcjonuje jednak raczej jako nauka pomocnicza dyscyplin o ambicjach uogólniających. Socjologia i antropologia korzystają z jej dorobku, tak jak budowniczy korzysta z cegieł przygotowanych w cegielni. My przygotowujemy owe cegły – co jest poniekąd naturalne. Ktoś musi zarysowywać obraz upływającego czasu, a w ramach podziału pracy tym kimś są i będą historycy. Żałuję jednak, że bardzo często nie

¹ Np. T. Kizwalter *O nowoczesności narodu. Przypadek polski*, Warszawa 1999; A. Mączak *Klientela*, Warszawa 1994.

mamy szerszych ambicji sami lub że nie wchodzimy w symbiozę z innymi dyscyplinami. Fukuyamie, choć ostatnio był to chyba najgłośniejszy historyk i politolog zarazem, nie tylko nie dalibyśmy magisterium z historii (praca nie oparta na źródłach historycznych!), ale w ogóle nie poświęciliśmy uwagi. Nie jestem pewien, czy Davies zasłużyłby na lepszy los.

Tradycja w tym zakresie jest zła. Aleksander Gieysztor wspominał, jak to Tadeusz Manteuffel powiedział mu swego czasu: „Proszę się skupić na studiach historycznych, mediewistycznych, to są poważne studia i pan może w przyszłości się w nich zaznaczyć. Historia sztuki! Oczywiście, to jest piękne i ciekawe, ale tego mediewista i tak się musi nauczyć, ale to już przy okazji...”².

Mnie samemu, gdy w swoim czasie przyszedłem na seminarium prof. Mariana Małowista, ten sugerował, bym zrezygnował z drugich studiów socjologicznych. Na szczęście go nie posłuchałem. Nie mam też wątpliwości, że najcenniejsze fragmenty zawodowej aktywności prof. Gieysztora ostatecznie sytuowały się na pograniczu historii oraz historii sztuki, pewno także archeologii. Dziś jeszcze bardziej jestem przekonany, że poczucie odpowiedzialności wobec własnej dyscypliny nakazuje nie tylko, a może nawet nie tyle pogłębianie jej specjalizacji, ile dbanie o jej szerokie horyzonty.

Jeśli nie postaramy się o to, by twórczość historiograficzna otwarła się na szerokie perspektywy, to zagrazi nam odgrywanie roli drugorzędnej, jeśli nie wręcz marginalizacja. Nie jest to perspektywa dramatyczna. W końcu w społeczności naukowej muszą być laboranci obok naukowców, lekarzom pomagają pielęgniarki, zaś lekarzom-ortopedom specjaliści z zakresu rehabilitacji narządów ruchu. Poczucie odpowiedzialności historyków wobec własnego środowiska i własnej dyscypliny nakazywałoby jednak kładzenie nacisku nie tylko na odpowiedzialne podejście do warsztatu historycznego, ale także do refleksji nad celami działania i szerokością perspektyw ujmowania zagadnień. Środek nie powinien przerastać celu.

² R. Jarocki *Opowieść o Aleksandrze Gieysztorze*, Warszawa 2001, s. 276.